GLOBALNIE · #POLITYKA NARODOWA

AMERYKAŃSKI MIT XXI WIEKU. DONALD JOHN TRUMP: ZNACZĄCY I ZNACZONY

Lidia Frankowska · 13 września 2026



Mitu nie określa przedmiot jego komunikatu, ale sposób jego wypowiadania: istnieją formalne granice mitu, a nie ma substancjalnych[1].
Roland Barthes

To już zaawansowany etap rozkładu mitu o końcu historii. Antymitologiczność liberalizmu politycznego, która miała uchronić nas przed antagonizmem, przemocą i samą „politycznością", ostatecznie użyźniła glebę pod powrót idola, woli i wiary. Rozum kompromituje się w zderzeniu ze zdrowym rozsądkiem, zacierają się granice między sferą prywatną i publiczną, a era celebrycka, wyzuta z głębszych znaczeń, ustępuje miejsca transparentności i autentyczności, której domaga się opinia publiczna. Jak na ironię twarzą tego procesu stał się – i był nią jeszcze niedawno – syn amerykańskiego snu, Donald Trump. Uruchamiając skuteczny mit polityczny, nadał nową dynamikę polityczności, wypartej niegdyś przez liberalizm.

---

21 listopada 1964 roku przez nowo otwarty most Verrazano-Narrows Bridge, łączący Brooklyn z Staten Island, przejechały pierwsze osobówki. Ta uroczysta chwila była tylko ułamkiem czasu, jaki poświęcono na pertraktacje w sprawie jego budowy. Z realizacją projektu przeprawy przez cieśninę The Narrows

przez dekady wiązały się liczne turbulencje.

Początki konfliktu sięgały lat 20. XX wieku, kiedy to wizja ówczesnego głównego inżyniera miejskiego napotkała wpierw przeszkodę w postaci wielkiego kryzysu 1929 roku, a następnie jeszcze większy problem – Roberta Mosesa. Ten ambitny urbanista odpowiadał za wieloletnie utrudnienia, usilnie próbując przeforsować projekt tunelu, mający większy potencjał zwrotu inwestycyjnego dla prowadzonej przez niego agencji TBTA (Triborough Bridge and Tunnel Authority – Zarząd Mostów i Tuneli Triborough). Trzeba było spisku i nowej ustawy, by postawić monopolistę przed faktem dokonanym – most, który powstał, uderzył w jego realną władzę, nie czyniąc jednak rys na jego wizerunku. Jego przegrana miała więc ograniczony wymiar. Dla wtajemniczonych oczywiste było, że dla finalizacji projektu – od idei i wykonawców – istotniejszy był odpowiedni układ sił, grupa decyzyjnych osób. I to właśnie ona tego dnia triumfalnie przejechała przez most w kolumnie drogich limuzyn. W jednej z nich siedział Fred C. Trump wraz ze swoim osiemnastoletnim synem, Donaldem.

Poprzedzająca przejazd uroczystość, z Mosesem przecinającym wstęgę, obiektywnie stanowiła obraz ironii politycznego życia ówczesnego Nowego Jorku, ale dla młodego Trumpa okazała się momentem kluczowej refleksji: „(...) wszyscy ci politycy, którzy przeciwstawiali się powstaniu mostu, zbierają owacje. A z tyłu, w ulewie, stoi 85-letni inżynier, który przybył ze Szwecji i zaprojektował ten most, który włożył w niego całe swoje serce i nikt nawet o nim nie wspomniał”[2]. Właśnie w tamtym momencie stało się dla młodzieńca oczywiste, że „nie chce dać komuś zrobić z siebie frajera”[3] – tak w wywiadzie z 1980 roku dla „New York Timesa”34-letni Donald Trump przywołał wspomnienie, które określił jako fundamentalne dla budowania jego własnego sukcesu.

Cytowany przed chwilą fragment wywiadu wpadł w obieg dziennikarski na długie lata. I nie bez powodu – jest on jak uchylenie okna na świat percypowany okiem aktualnego prezydenta najpotężniejszego państwa świata. Tę szczelinę wykorzystała Maggie Haberman, która pierwszy rozdział niedawno wydanej książki *Confidence Man* rozpoczyna od dekonstrukcji tej historii. Jak się okazuje, w wydaniu „Timesa” z następnego dnia świadek pisze, że podczas ceremonii otwarcia mostu pogoda była słoneczna, a wspomniany w nim szwajcarski inżynier, Othmar Ammann, mieszkający w Stanach od sześćdziesięciu lat, został nagrodzony brawami jako pierwszy, tuż po tym, jak sam Robert Moses okrzyknął go „najlepszym inżynierem mostowym wszechczasów”[4].

Fakty wychodzą naprzeciw narracji – co dla wielu badaczy zajmujących się przypadkiem Donalda Trumpa nie wyda się dziś szokujące, dla garstki jednak pozostaje obiektem głębszej analizy. Dlaczego? Biorąc pod uwagę rangę i znaczenie, jakie sam Trump nadał owemu wydarzeniu – obrazu przebudzenia, nasyconego dramatyzmem – możemy powiedzieć o swoistym micie założycielskim. To, co było osobistym objawieniem, w konfrontacji z faktami ujawnia, że mamy do czynienia z postacią funkcjonującą według zasad dynamiki mitotwórczej. Aby zrozumieć tę sprzeczność między faktualnym sensem a formą jego przedstawienia, konieczne jest wyjście z roli uczestnika mitu i wejście w buty mitologa.

Patrząc z takiej właśnie perspektywy, Maggie Haberman postawiła diagnozę, że już na etapie udzielenia wywiadu w 1980 roku Donald Trump był przekonany, że wszyscy chcą go upokorzyć, a każda wyrządzona mu szkoda nie jest kwestią przypadku. Opisywana w ponad sześćsetstronicowej książce historia tylko rozszerza ten wniosek w wymiarze czasowym. Nam jednak nie będzie chodziło o samą historię, lecz o uchwycenie istotnego dla współczesnej polityki mechanizmu, który z niej czerpie.

Wychodząc poza formy przekazu, możemy dotrzeć do momentu, w którym sens jako całość faktograficzna staje się jedynie formą, pod którą wytwórca mitu podpina nowe pojęcia. Mit polityczny, rządzący dzisiejszą Ameryką, wskazuje i oznajmia prawdy – te z kolei w mieszczańskim społeczeństwie są synonimiczne ze „zdrowym rozsądkiem". Nie dzieje się to bynajmniej w sposób „skorumpowany", wykraczający poza prawa języka – retoryka aktualnego rządcy jest po prostu produktem, który dobrze się sprzedaje.

W momencie, kiedy zrozumiemy, że „mit niczego nie ukrywa i niczego nie ujawnia: mit zniekształca, (...) nie jest ani kłamstwem, ani wyznaniem: jest naginaniem"[5], zrozumiemy, że sprzeczność między faktami a retoryką nie jest unikana, ale intencjonalnie czyniona nieistotną aksjologicznie. Fenomen trumpizmu nie funkcjonuje zatem jako oszustwo, ale jako sztuka – produkt dostosowany do historycznych potrzeb i kulturowego kontekstu współczesnych Amerykanów. Personifikacją pojęcia stanowiącego fundament tego mitu pozostaje sam Donald J. Trump.

Mit odczarowany

> [Mitologia – LF] *stanowi* (...) *zarazem część semiologii jako nauka formalna oraz część ideologii jako nauka historyczna – bada ona idee jako formę*[6].
> Roland Barthes

Nie bez powodu na tylnej okładce *Confidence Man* możemy przeczytać: „Oto książka, której Trump boi się najbardziej". Haberman, konsekwentnie odróżniając sens od formy, przywraca narracji Trumpa historyczną ciężkość. Praca nie tyle służy budowaniu psychologicznego profilu „wybrańca", ile jest częścią aktu demistyfikacji.

Jak zauważa Roland Barthes, filozof i teoretyk semiologii, mit traci swą siłę albo kiedy „intencja mitu jest zbyt niejasna, aby mogła być skuteczna", albo gdy „intencja mitu jest zbyt wyraźna, aby można było w nią uwierzyć". Strategia Maggie Haberman opiera się na tej drugiej przesłance: uhistorycznienie i sprowadzenie mitu do poziomu rzeczywistości, z której się wywodzi, może go odczarować.

Wyłania się więc przed nami zarys całego mechanizmu semiologicznego, który w wypadku trumpizmu domaga się więcej niż faktów – domaga się on opisu na poziomie znaczeń. Szczególnie warto dążyć do ujęcia relacji między rzeczywistością a metajęzykiem. Tak jak wielu dziennikarzy odczarowuje mit, tak my chcemy wyciągnąć z niego wartość w postaci nowej świadomości politycznej. Aparat pojęciowy, który pozwala taki zabieg przeprowadzić, odnajdziemy w *Mitologiach* Barthes'a.

Warsztat mitologa

Ferdinand de Saussure, twórca strukturalizmu, z którego wywodzi się myśl Barthes'a, ustanowił podstawą znaku językowego relację dwóch elementów: znaczącego (*signifiant*) i znaczonego (*signifié*). Element „znaczony" odpowiada pojęciu – temu, co mamy na myśli – a „znaczący" stanowi jego „formę": obraz akustyczny lub graficzny. Dopiero podporządkowanie elementu świata tej relacji nadaje mu „sens". W ten sposób, na pierwszym, językowym, poziomie semiologicznym powstaje „znak".

Znak pociąga sens, który – jak pisze Barthes – „jest już kompletny, zakłada jakąś wiedzę, jakąś prze-

szłość, jakąś pamięć, jakiś układ odniesienia złożony z faktów, idei, decyzji”[7]. Zawarty w znaku sens odgrywa kluczową rolę w semiologicznym schemacie – stanowi on portal, przez który z poziomu języka opisowego przechodzimy do metajęzyka, kultury i mitologii. Przejście zawdzięczamy tylko temu, że sens ma właściwość stawania się w pewnym sensie pustym; może on przejść „regres w formę” i z tej pozycji stać się „elementem znaczącym” mitu. Znaczącym, czyli formą, która znowu może być podporządkowana nowemu pojęciu, treści intencjonalnej. Za nią niesie się znak drugiego poziomu – znaczenie (mitu).

Nie oznacza to, że sens przestaje istnieć – on dalej stanowi portal do świata faktów, do rzeczywistości: „Sens będzie dla formy jakby podręcznym zapasem historii, jakby będącym w dyspozycji bogactwem, które można na zmianę natychmiast przywołać lub odesłać: trzeba, by forma bezustannie mogła zapuszczać korzenie w sens i znajdować w nim naturalne pożywienie; przede wszystkim zaś trzeba, by się w nim mogła ukryć. Właśnie ta pasjonująca gra w chowanego między sensem a formą definiuje mit”[8].

Dwoistość na poziomie pojęcia elementu znaczącego, odpowiadająca za dynamiczność procesu mitotwórczego, może prowadzić też do sprzeczności. Przykładem tego jest przywołany na początku „mit założycielski”. Sens powstały na poziomie językowym jest najczęściej faktualnie pełny, a jednak będąc formą reprezentacji mitu, pozostaje on formą płynną, dostosowywalną do potrzeb twórcy: „forma jest pusta, ale obecna, sens jest nieobecny, a jednak pełny”. Fakt ten dziwi tylko tych, którzy wykraczają poza rolę czytelnika mitu do perspektywy mitologa – kiedy do opisu danego znaczenia użyje się metody statycznej, mówimy: „relacja łącząca pojęcie mitu z sensem jest ze swej istoty relacją zniekształcenia”[9]. Dlatego w obliczu faktów na temat ceremonii otwarcia mostu mogliśmy się zdziwić tym, że ktoś przekręcałby tak drobnostkowe fakty. Barthes odpowiada za nas: „mit oddaje się na usługi historii w dwojaki sposób: poprzez swoją formę, która jest relatywnie umotywowana, i poprzez swoje pojęcie, które z natury jest historyczne”[10].

W tym sensie również jednostka – jako producent znaków i nośnik sensów – może zostać zdystansowana, ale nie oderwana od tego, co ją uwarunkowało historycznie. Mit operuje w granicach naśladowanej przez niego „naturalności”. Ktoś może powiedzieć, że podlega nowej definicji i tym samym nadaje sobie nowe znaczenie, ale to jednak mit jest ostateczną instancją w zakresie produkowania znaczeń. Każdej formie autoprezentacji nadawane jest konkretne pojęcie o pośrednim wydźwięku w rzeczywistości społecznej.

„Prawdę mówiąc, pojęcie mitu zawiera w sobie nie tyle rzeczywistość, ile pewne rozpoznanie rzeczywistości; przechodząc z sensu w formę, obraz traci na wiedzy, aby tym łatwiej przejąć tę, która niesie pojęcie. Faktycznie wiedza zawarta w pojęciu mitycznym jest wiedzą pomieszaną, ukształtowaną ze swobodnych, nieograniczonych skojarzeń”[11].

Pojęcie, warunek konieczny powstania znaczenia, to „bezkształtne, nietrwałe, mętne zagęszczenie, które swą jedność i spójność czerpie przede wszystkim z pełnionej funkcji”[12] – na poziomie językowym jest ono zdeterminowane historycznie, na poziomie mitycznym – intencjonalnie. W momencie alienacji sensu od swej kontekstualności pojęcie staje się bodźcem, który uruchamia mowę mitu[13]. Sam mit natomiast, powołując się na liczne definicje Barthes’a, jest ukradzionym słowem, komunikatem, wtórnym systemem semiologicznym, kompromisem i metajęzykiem[14]. Mit można utworzyć z wielu form, nawet z absurdu[15]. Mimo to „niczego nie ukrywa: na tym polega jego funkcja, że zniekształca, ale nie prowadzi do zaniku”[16].

> Mit ma również charakter impresywny: „oczekuje się od niego natychmiastowego skutku; nieważne, czy (...) zostanie potem podważony, jego spodziewane działanie jest silniejsze od racjonalnych wyjaśnień, które mogą nieco później go zdementować". Kiedy czytelnik mitu go przyswaja, nie widzi mechanizmu semiologicznego, ale przyczynę i skutek – coś, co odpowiada naturalnemu porządkowi świata.

Poprzez ten proces, który nazywa się naturalizacją, konsument uważa wygenerowane znaczenie semiologiczne za system faktów, uwiecznione prawo[17]. Moglibyśmy mówić o niewinności mitu, twierdząc, że proces naturalizacji sam w sobie nie ma wagi etycznej – nie jest on ani zły, ani dobry – stanowi po prostu część ludzkiej kondycji. Towarzysząc wszystkim na co dzień, *mythos* winny jest podlegać rozmowie o jego etyczności jedynie w partykularnych przypadkach, kiedy występuje możliwość oglądu związanych z nim implikacji. Barthes wystosowuje jednak moralną ocenę mitu jako takiego, porównując go do alibi. Dokonuje tego twierdzeniem, że w obu wypadkach istnieją miejsca puste i miejsca pełne, powiązane relacją identyfikacji negatywnej („nie ma mnie tam, gdzie myślicie, że jestem; jestem tam, gdzie myślicie, że mnie nie ma")[18].

Nawet jeśli porównanie filozofa „nie wychodzi poza analizę obiektywną", nasuwa ona implikację o jasnych konotacjach politycznych – jeśli konieczną implikacją dla mitu jest zaczarowanie naszej rzeczywistości, mówimy o narzędziu zgoła autorytarnym i ułaskawiającym dowolną działalność propagandową. Zwłaszcza w historycznym momencie postfordystycznego kapitalizmu, spłaszczenia społeczeństwa do jednowymiarowej, mieszczańskiej ideologii i odsunięcia się klas od ich historycznego dziedzictwa (odwołując się do narracji filozofa). W ten sposób wracamy do tematu nowolewicowej perwersji – odczarowywania i demitologizowania rzeczywistości. Bez głębszego wchodzenia w temat adekwatności tej filozofii do rzeczywistości (i tego, czy adekwatność stanowi jakiekolwiek kryterium) możemy jedynie przystać na to, że ona sama spełnia warunki mitu. Kategoria znaczenia lub wartościowania występuje niezależnie od prób dotarcia do kwintesencji stanu rzeczy, a zdrowsze od wyrzeczenia jest jednak zaakceptowanie obecności tego, czego uniknąć się nie da.

Widząc możliwość odniesienia się do analizy Barthes'a w kontekście mitu na lewicy i mitu na prawicy – wybieramy ostensywne definiowanie rzeczywistości politycznej, zwłaszcza kiedy widzimy, że tej zawadza przestarzały model osi tożsamości politycznej. Dyskutowanie o miarach używanych do realizacji pewnego ideologicznego programu jest drugorzędne wobec konsekwencji w wypadku powodzenia. Tym samym utwierdzamy się w decyzji o redukcji niegdyś hegemonizującej filozofii postmodernistycznej do roli ideologii dzisiaj podrzędnej.

Kiedy mówimy o micie jako alibi, przychodzi na myśl jeszcze zawarta w prologu *Confidence Man* diagnoza, która zawiera wytypowane behawioralne reakcje Donalda Trumpa na próby podważenia jego retoryki. Na liście mamy między innymi „kontratak" (*counterattack*), „szybkie życie" (*quick life*), „zrzucanie winy" (*the shift of blame*), „przekierowanie uwagi" (*distraction or misdirection*), „wybuchy gniewu" (*the outburst of rage*) oraz „obgadywanie i zaostrzanie konkurencji w swoich kadrach"[19].

Mówiąc językiem Barthes'a, mamy do czynienia ze strategią obrony postaci przed dwoma wcześniej wspomnianymi zagrożeniami: odkryciem intencji, prowadzącym do utraty mitu, oraz odczarowaniem fak-

tami albo oderwaniem od rzeczywistości i unieważnieniem. Walka o utrzymanie narracji, która dla wielu zdaje się niepoważna, jest efektem szeregu czynników, z których najistotniejsze są prawdopodobnie te biograficzne. Nie bez powodu więc Maggie Haberman podobnie jak wielu innych autorów, a także sam Trump odwołuje się do jego przeszłości. Jedni czynią to w celu degradacji i odebrania sprawczości, inni zaś aby wzmocnić legendę niezwyciężonego syna amerykańskiego snu.

Trump uświęcony

Skoro „mit ma dwie funkcje – wskazuje i oznajmia”[20], to jak określilibyśmy jego fenomen w odniesieniu do Donalda Trumpa? Zanim przejdziemy do analizy, rzućmy szybko okiem na historyczny kontekst, w ramach którego powstaje nasz „przedmiot mówiony”.

Donald Trump to wnuk niemieckiego imigranta, który w okresie gorączki złota nad Klondike'em otworzył na obrzeżach regionu Yukon biznes hotelarski dla przybywających poszukiwaczy. Zajazd ten zasłynął jako oaza zapewniająca szeroki program usług sprzyjających „męskim potrzebom”. Według biografów biznes rozpadł się ostatecznie po wprowadzeniu lokalnego zakazu hazardu i prostytucji[21]. Jednak etos przedsiębiorczości okutej mitem samospełnienia wynagrodził familię Trumpów na początku XX wieku, kiedy rodzinny kapitał został zainwestowany w pierwsze nieruchomości nowojorskiej dzielnicy Queens. Po przedwczesnej śmierci założyciela majątek, szacowany dzisiaj na blisko pół miliona dolarów, stał się podstawą dalszej działalności deweloperskiej w ramach spółki Elizabeth Trump & Son, założonej w 1923 roku pod presją wywieraną przez młodego i ambitnego Freda Trumpa.

Niezależnie od perspektywy biograficznej każda narracja na temat Donalda Trumpa podkreśla centralną rolę jego relacji z ojcem[22]. Fred C. Trump był postacią nieco uosabiającą pruską mentalność oraz protestancki etos pracy. Biorąc odpowiedzialność za swoją rodzinę, jako nastolatek podjął się prac rzemieślniczych i usługowych. Uniemożliwiło mu to podjęcie studiów. Kiedy jednak nadarzyła się taka możliwość, sfinansował on studia swojego brata, Johna Trumpa, dziś uznawanego za jednego z bardziej zasłużonych inżynierów i fizyków XX-wiecznej Ameryki. Wspominając ojca, Donald przytacza najważniejszą naukę, jaką od niego zaczerpnął: „Najważniejsze w życiu to kochać to, co się robi, bo wyłącznie w ten sposób można stać się w tym naprawdę dobrym”[23].

Deweloperska kariera Freda Trumpa rozpoczęła się na poważnie dopiero po poznaniu lokalnego lidera komisji Partii Demokratycznej, którego pozycja pomogła uzyskać dostęp przed innymi do korzystnych ofert inwestycyjnych. Było tak po przegranej sprawie sądowej, która zapoczątkowała drogę największej nowojorskiej spółki J. Lehrenkrauss & Sons do bankructwa. Dzięki szybkiemu rozgłosowi wśród lokalnych elit należące do niej niegdyś posiadłości wpadały w ręce Trumpa i jego biznesowego partnera.

Umiejętności wdrażania się w partyjne układy najprawdopodobniej nie były tylko kwestią polityki interesu – Fred Trump był swego rodzaju politycznym fanatykiem. W 1927 roku został aresztowany za udział w antykatolickim proteście Ku Klux Klanu, odbywającym się w imię „jednej flagi; Amerykańskiej flagi, jednej szkoły; publicznej szkoły; i jednego języka, angielskiego języka” – a przynajmniej tak głosiły hasła na ulotce z tamtego zgromadzenia[24].

Niektórzy mogliby połączyć wątek aresztowania z wydarzeniami z 1973 roku, kiedy wydział mieszkalnictwa Departamentu Sprawiedliwości Stanów Zjednoczonych zainteresował się doniesieniami o występującej w Trump Village oraz w innych 39 posiadłościach dyskryminacji na tle rasowym. Obaj, Fred

oraz Donald Trump, zostali wtedy oskarżeni o naruszenie Fair Housing Act z 1968 roku. Zarzuty dotyczyły wielokrotnej odmowy wynajmu mieszkania oraz blokowania przez dozorcę budynku wejścia potencjalnym, czarnoskórym, najemcom. Na 3700 mieszkań w Trump Village tylko siedem wynajmowanych było przez rodziny czarnoskóre. Jako przyczynę Trumpowie podawali nie kolor skóry, ale niski dochód.

Na tym etapie swojej kariery Donald Trump poznał Roya Cohna – czołową postać okresu „czerwonej" i „lawendowej paniki". Syn byłego sędziego Sądu Najwyższego stanu Nowy Jork zaistniał publicznie w latach 50. jako oskarżyciel w słynnej sprawie Rosenbergów. Znany z bycia niepokonanym adwokatem oraz bezlitosnym antykomunistą walczącym jednak na gruncie prawa, pracował u boku senatora Josepha McCarthy'ego oraz głównego prokuratora, Jamesa P. McGranery'ego za rządów prezydenta Trumana.

Moment jego poznania z Trumpem został zekranizowany. W filmie *The Apprentice* widzimy Cohna już jako prawnika sektora prywatnego, blisko powiązanego z lokalnymi siatkami przestępczymi. Przedstawiony w tej scenie Anthony Salerno, szef grupy przestępczej kontrolującej miejski przemysł betoniarski, pomógł później zaopatrzyć budowę Trump Tower w beton na korzystnych warunkach. Oprócz siatki powiązań film wyraziście przedstawia mentorski aspekt relacji, w ramach których Cohn uczył młodego adepta trzech „zasad": „atak, atak, atak", „nie przyznawaj się do niczego, wypieraj się wszystkiego" i „uznaj własne zwycięstwo, nie przyznawaj się do porażki". Oprócz pewnego darwinowskiego etosu Cohn był znany, co lubił sam podkreślać, ze swojej lojalności. Trump na przestrzeni lat twierdził, że „Roy był skuteczny, jeśli cię lubił" (*Roy would be effective if he liked you*) i że był to „inny typ człowieka" (*a different kind of guy*). Cohn zmarł w wieku 59 lat na AIDS, do końca swojego życia nie chcąc przyznać się do choroby. Takie wyznanie wymagałoby obalenia własnej reputacji bezwzględnego męża stanu oraz przyznania się do homoseksualizmu, którego obecność w instytucjach państwowych wcześniej sam systemowo zwalczał. Donald Trump, ostatnia osoba, z którą rzekomo Cohn odbył rozmowę tuż przed śmiercią, oraz człowiek, od którego otrzymał w chorobie podrabiane diamentowe spinki do garnituru – podobno tylko one nie zostały pośmiertnie skonfiskowane przez urząd skarbowy – był obecny na pogrzebie, stał w kącie. Możemy się tylko domyślać, co działo się wtedy w głowie podopiecznego, który jak mogłoby się dzisiaj wydawać, przerósł swojego mistrza. Z pewnością nie zamierzał skończyć podobnie – zostawić po sobie dziedzictwa skażonego opinią człowieka, który uciekał przed konsekwencjami swoich czynów i w pewnym sensie... przegrał[25].

Skutki tej znajomości sięgają dnia dzisiejszego. Współpracując z licznymi prawnikami, Trump lubi podkreślać, że żaden z nich „nie jest taki jak Roy Cohn", a sama historia upadku wielkiej postaci, jak się wydawało, niezniszczalnej, ma swój udział w przebiegu obu prezydentur. Dla przykładu – przechodząc przez COVID-19 w 2020 roku, Donald Trump nadzwyczaj dbał o to, aby informacje na temat jego faktycznego stanu zdrowia nie wychodziły poza salę szpitalną. Dziś licznie wykonywane badania psychofizyczne i komentarze lekarzy o wzorowych wynikach Trumpa wręcz proszą publikę o utwierdzenie się w przekonaniu, że potrafi on wygrać nawet z czasem. Dodatkowo możemy przytoczyć politykę kontrataku realizowaną przez niego aktualnie wobec sędziów i prokuratorów odpowiedzialnych za wytoczone przeciwko niemu, przegrane lub wstrzymane, sprawy. W obu sytuacjach rezonuje charakterologiczna spuścizna nowojorskiego prawnika.

Ich pierwsza wspólna sprawa sądowa, po długiej i brudnej walce, została formalnie przegrana. Młody deweloper podpisał orzeczenie, w którym przyrzeka zaprzestania polityki dyskryminacyjnej, a nawet de-

klaruje opłacenie przez firmę lokalnej reklamy skierowanej do czarnoskórych. Nieformalnie dla Trumpa i Cohna wynik był sukcesem – w tym samym orzeczeniu sąd oznajmił, że The Trump Organization nie zostaje posądzone o czyny karygodne. Tytan się potknął, świat tego nie widział.

Przedzierając się do centrum wydarzeń, Trump namierzył postacie, którym zawdzięcza jeszcze inne motywy: „teologię sukcesu" i manifestowanie swoich zwycięstw (Norman Vincent Peale), czynienie ze swojego despotyzmu publicznego show (George Steinbrenner), ideę antyestablishmentowych rządów twardej ręki (Ed Koch i Rudy Giuliani), sfeudalizowanie politycznej struktury według własnej potrzeby (Meade Esposito) i konsekwentne utrwalanie cynizmu politycznego (Roger Stone). Trumpa od jego „wzorców" w walce o reputację zdaje się wyróżniać wyłącznie jego przystępność oraz „chłopskość" na poziomie ekspresywności mowy. Co dla komentatorów wydaje się zwykłym populistycznym przytykiem wobec prawicowego elektoratu, dla dociekliwych obserwatorów i znajomych jest autentycznym elementem osobowości. Załóżmy, że prawda leży pośrodku.

Cała postać Trumpa przemawia do Amerykanów przez ich charakter. W końcu mówimy o człowieku, który urodził się nie tylko w rodzinie będącej ponadpokoleniowym ucieleśnieniem amerykańskiego snu, ale został wychowany w czasach, kiedy kapitalizm był otoczony widmem makkartyzmu oraz komercjalizującym się kultem samospełnienia. Praca była podstawą życia rodzinnego Trumpów – szacunek ojca można było wywalczyć poprzez kompetencje i arogancję. Dyscyplina, umiejętność „przekierowania wrodzonej agresji na osiągnięcia" oraz stosunek do autorytetu nabrały wyraźnych kształtów podczas pobytu w Nowojorskiej Akademii Wojskowej (New York Military Academy), gdzie utrwalił się u Trumpa „niespotykany dotychczas w amerykańskiej historii instynkt samozachowawczy"[26]. Natomiast płynący we krwi darwinizm społeczny dojrzewał przez lata konkurencji, zaczynając od rodzeństwa, przy czym z czasem stał się naturalnym porządkiem rzeczy.

Jednak pewna forma życzliwości oraz uroku zawsze towarzyszyła liderowi współczesnej amerykańskiej prawicy. W sferze prywatnej jego gra na cudzym ego miała często charakter instrumentalny, natomiast szacunek wyrażał wobec tych, którzy wykazywali wyważony poziom asertywności[27]. Publicznie prezentowana kurtuazja ma szerszy wymiar – staje się zarówno egzekwowaniem własnego kodeksu moralnego, jak i realizacją strategii autopromocyjnej. W przeciwieństwie do Roya Cohna, który czerpał satysfakcję z tego, że budził szacunek poprzez grozę i podziw, Trump konsekwentnie budował wokół swojego nazwiska przyjemne skojarzenia z ambicją, sukcesem i przyszłością, by następnie wkroczyć w świat szeroko pojętych elit. W tym zamkniętym środowisku stał się synonimem otwartości, człowiekiem nieco nachalnym, lecz wyraźnie ukierunkowanym na wytwarzanie prestiżu. Już w okresie rozbudowywania sieci kontaktów młody Donald zaznaczał swoją obecność w kręgach klubowych i prywatnych, w których zaufanie dzielone przy ekscesywnej zabawie towarzyszyło zakulisowym negocjacjom. Przychodził z pięknymi modelkami, nie pił i nie palił, ale był w centrum wydarzeń – obudował się wtedy nową formą, renomą symbolu zwycięzcy. W wywiadach nie ukrywał, że już na tym wczesnym etapie był świadkiem moralnego zepsucia kręgów, w których się obracał. Ten dysonans zagwarantował możliwość utożsamienia się wykluczonych z nowobogackiego habitatu mas z człowiekiem, który się na nim wzbogacił. Motyw ten charakteryzuje się otoczką skandalu i podziwu jednocześnie – oto człowiek, który dotarł na szczyt Olimpu i dowolnie odziera bogów z szat.

„Jednego nauczyłem się o prasie: że zawsze lgną do dobrej historii, a im bardziej sensacyjnej, tym lepiej. To leży w naturze profesji, co rozumiem. Sęk w tym, że jeśli się trochę wyróżniasz, bywasz skandaliczny,

albo jeśli robisz coś zuchwałego i kontrowersyjnego, prasa będzie o tobie pisać. Ja zawsze działałem nieco odmiennie, kontrowersja mi nie zawadzała, a zawierane przeze mnie umowy są z zasady dość ambitne. Ponadto, jako młodzieniec bardzo dużo osiągnąłem i zdecydowałem się na pewien styl życia. W rezultacie prasa zawsze chciała o mnie pisać"[28].

Moment, w którym fenomen Trumpa zamienia się w prawdziwie retoryczną formę, można opisać, używając tego samego cytatu, którego Barthes użył przy opisie powstawania mitu stalinowskiego. Mówimy o „naturalnym zwrocie" ku personie będącej centrum własnego mitu i „**nieuchronności** naturalnych epitetów", jakimi otacza się jej imię[29].

Oto „sens", który przysługuje Trumpowi jako znakowi swoich czasów – multimilioner z nowojorskiej dzielnicy, uformowany w kontekście politycznej, ponadpartyjnej intrygi, wyznający założycielski *mythos* kapitalistyczno-protestanckiej kultury, zamienia się w mityczną formę – współczesnego Heraklesa, jedynego, który opuścił „głębokie państwo" (*deep state*), by z nim walczyć na najwyższym możliwym poziomie – poziomie legalnej władzy suwerena. A tuż za formą stoi pojęcie: amerykańskość, czyli niezwyciężoność.

Wolnoamerykanka

Wiele obrazów uważanych za charakterystyczne dla amerykańskiej kultury pociąga za sobą skojarzenia ze światem antycznym. Zapaśnik, wchodząc na skropiony krwią ring, zdaje się podlegać tylko jednej regule – „nie dać się zabić". W rzeczywistości zostaje on sprowadzony do roli narzędzia, dzięki któremu publika może doświadczyć podświadomie pożądanej logiki sprawiedliwości. Kiedy ciężki Goliat zostaje siłą ściągnięty do parteru przez bogobojnego Dawida, paskudnik nie powinien opierać się cierpieniu przy wykręcaniu mu kończyny. „Niech cierpi!" – krzyczą – „Niech zapłaci!". Nie chodzi o wynik walki, ale o wyrazistość emocji, która towarzyszy czytelności sensów moralnych. Prawda nie ma swojej reprezentacji w sytuacji, kiedy wszystkie chwyty są dozwolone. Amerykanin, obserwując dwa ciała zlewające się w jedną masę, „wyobraża swego rodzaju mitologiczną walkę Dobra ze Złem (o charakterze parapolitycznym [...])"[30]. Jak zauważa Barthes: „To opróżnianie wnętrza na korzyść jego znaków zewnętrznych, to wypompowanie treści przez formę jest właśnie zasadą triumfującej sztuki klasycznej"[31].

Stereotypowe ujęcie amerykańskości podkreśla wiecznie obecną egzaltację oraz towarzyszącą jej powierzchowność. Zdaje się przez to, że nie ma dzisiaj bardziej lubującego się w mitach społeczeństwa zachodniej cywilizacji od amerykańskiego. Jednak od przynajmniej 1961 roku (roku opublikowania książki Davida J. Boorstina) mówi się o „upadku «folkowości» i wzroście «masowości»"[32]. Rewolucja graficzna (*The Graphic Revolution*) przyzwoliła na dominację obrazu i dźwięku w przekazie medialnym. Masowość przyjęta w ilości wątków, rozpowszechnionej megalomanii oraz przebodźcowaniu odbiorców bierze się z demokratyzacji zasad obiegu informacji. Jeśli prawda wiąże się z ujęciem publicznie istotnych osądów, czyli wszystkich, to król zestawiony w szeregu z plebejstwem pada ofiarą desakralizacji. Ludzie, jak zauważył autor, szybko zaczęli mylić kult herosów z idolatrią celebrytów, gdyż ten pierwszy wiązał się kulturowo z dogmatami antydemokratycznymi.

Przestronność, czyli medialność, dała możliwość uczynienia wszystkiego istotnym i niczego ważnym jednocześnie – nasza rzeczywistość stała się tautologiczna, czyli wyzuta ze znaczenia. Towarzyszące nam pseudowydarzenia, tzn. nieadekwatnie do rzeczywistości wyegzaltowane historie, mają również swoją

spersonifikowaną formę – „która jest znana z tego, że jest znana”[33].

> Medialnie opracowany fenomen „celebryty” istnieje tylko po to, by zaspokoić nasze wysokie oczekiwania co do doświadczania ludzkiej wielkości. Bardzo dobrze rozumiał ten mechanizm Donald Trump, który z celebryckości uczynił walutę. Zwycięsko wychodzący z ringu zapaśnik nie jest prawdziwym herosem, ale aktorem, który nosi karykaturalną maskę, profanującą starych bogów. Kategoria bohatera istnieje już tylko pod wypatroszoną z treści formą człowieka, którego wartość jest zależna od siły przyciągania... uwagi.

Dzisiaj, na dalekim etapie cyfryzacji, widzimy, że ilość wyprodukowanych „gwiazd” koreluje z redukcją podziwu wśród mas. Próba nadrobienia tej straty przez produkowanie często bezwartościowego, choć stymulującego, „contentu” doprowadziła do rozpowszechniającego się sceptycyzmu idolatrycznego – radykalnego zwątpienia w fenomen „moralnego przykładu”, kategorii postaci, której celem było semantyczne zamknięcie wielbiciela w obiegu jego własnych znaczeń. Zdaje się, że występująca w kontraście ikona, która swoją formą kieruje wyznawcę ku autentycznej, transcendentalnej wartości, ma szansę na przejście kolejnego renesansu.

Nadejście filozofii Karola Marksa, materializmu dialektycznego i ekonomicznego determinizmu, sprowadziło wartości utożsamiane z żywymi legendami do zjawisk społecznych: „Teraz słyszymy; Ojcowie Pielgrzymi byli przedstawicielami (...) dążącej do przewrotu klasy średniej, ich idee wyrażały formującą się «etykę protestancką», która była precyzyjną zapowiedzią nowoczesnego kapitalizmu. Ojcowie Założyciele Konstytucji (...) nie byli niczym więcej niż rzecznikami konkretnych interesów własnościowych. Andrew Jackson został tylko jednym z wielu możliwych przejawów politycznie wschodzącego Zachodu. «Pogranicze” («The Frontier») okradło ludzi z kategorii legendy. «Izmy», «siły» i «klasy» przypieczętowały śmierć «bohatera» w naszej literaturze historycznej”[34].

Cały swój wywód Boorstin kieruje przeciwko powstałym z pseudowydarzeń mitom, między innymi przeciwko narodowi. Nie da się jednak ukryć, że diagnoza o jednowymiarowym, tautologicznym wytwarzaniu przez nas interpretacji świata, ma swój wydźwięk w rzeczywistości.

Gdzie w tym wszystkim znajduje się jednak Donald Trump? Wielu zarzuca mu bycie tą beztreściową, ukształtowaną przez media i wręcz zdesperowaną, by zwrócić na siebie uwagę celebrycką formą. Maggie Haberman tak często odnosi się do doświadczeń Trumpa z show-biznesem, że można odnieść wrażenie, iż czyni z tego kompensowane żarliwą konkurencją na rynku deweloperskim źródło poczucia niespełnienia[35].

Sam Donald Trump nigdy nie zaprzeczał, że medialność przynosiła mu osobistą satysfakcję, jednak przede wszystkim traktował ją jako narzędzie do wzmocnienia prestiżu swoich projektów: „Ludzie nie zawsze mierzą wysoko, ale nadal potrafią bardzo ekscytować się tymi, którzy to robią. Dlatego odrobina hiperboli nigdy nie zaszkodzi. Ludzie chcą wierzyć, że coś jest największe, najwspanialsze i najbardziej spektakularne. Nazywam to prawdziwą hiperbolą. Jest to niewinna forma wyolbrzymienia – i bardzo skuteczna forma promocji”[36].

Medialność nigdy nie wchodziła w konflikt z autentycznością, z której Trump jest znany do dziś. Sensacja towarzyszyła nie tylko historiom, których był bohaterem, lecz także sposobowi, w jaki je animował. Przy trudnych pytaniach zawsze starał się dziennikarzy ani „nie zwodzić ani być wobec nich defensywnym”[37]. Czy moglibyśmy w takim razie stwierdzić, że nic, absolutnie nic, nie kryje się za gwiazdorską manierą?

> Nie bez powodu przeciwnicy Trumpa mówią o zagrożeniu dla demokracji, bynajmniej nie dlatego, że jako ustrój jest ona na progu upadku, ale dlatego, że utożsamiana dotychczas z demokracją liberalna narracja przegrała z silniejszym mitem politycznym – synonimem odrodzenia, „punktu zwrotnego” i neonacjonalizmu.

Aktualny prezydent prowadzi resuscytację kultu bohatera nie poprzez świadczenie moralnej przyzwoitości, ale poprzez konotacyjny powrót do pojęć, które definiowały dotychczasowy kontekst polityczny. Bynajmniej, jak się okazuje, nie w celu ich utwierdzenia, ale rewizji.

W 2016 roku Amerykanie przeżyli semantyczny szok. Dotychczas obrana definicja amerykanizmu, jako obrony ponadnarodowego porządku liberalnego, spotkała się z retoryką co najmniej nieinterwencjonistyczną: „Amerykanizm, a nie globalizm, będzie naszym credo”. Dla krytyków było to jednoznaczne z rozcieńczeniem samej idei Ameryki – biblijnego „miasta na wzgórzu”, prawowitego proroka wśród narodów: „Musimy bowiem uznać, że będziemy jak miasto na wzgórzu. Oczy całej ludzkości są skierowane na nas. Jeśli więc w podjętym przez nas dziele będziemy postępować niesłusznie wobec naszego Boga i damy mu powód, by wycofał swoje wsparcie, zostaniemy zepchnięci w przeszłość jako pośmiewisko dla całego świata”[38].

Dla Trumpa było to jednak powrotem do pierwotnego, nieco izolacjonistycznego znaczenia. Nie próbował on bynajmniej karać megalomanii zawartej w amerykańskim ekscepcjonalizmie (*American exceptionalism*). Wyjątkowość Stanów oraz ich nacjonalizm najczęściej bywają utożsamiane z czasami Andrew Jacksona, do niedawna ulubionego prezydenta Donalda Trumpa. Zajmujący wtedy centrum uwagi Wielki Zachód (The Great West) symbolizował narodotwórcze starania na rzecz godzenia ekspansji i migracji z ideą państwa narodowego. Oddolnie powstała, nacjonalistyczna narracja, oparta na wspomnianym micie „Pogranicza” (Myth of the Frontier) jako „punktu kolizji dzikości z cywilizacją”[39] oraz „Objawionego Przeznaczenia” (Manifest Destiny), doktryny pokrewnej z współczesną „teologią sukcesu”, ale o charakterze kolektywistycznym, uzupełniały się z wcześniej powstałą doktryną Monroego. Celem ostatecznym było wzmocnienie poczucia odrębności amerykańskiej tożsamości narodowej.

Znaczenie „Pogranicza” miało więc swój wymiar międzynarodowy: „(...) złożoność europejskiego życia zostaje w zderzeniu z dziczą zredukowana do prostoty warunków pierwotnych. (...) posunięcie się naprzód granicy oznaczało stopniowe oddalanie się od wpływów Europy i stopniowy wzrost niezależności według amerykańskich wzorców”[40].

Natomiast dopięcie projektu nacjonalizacji ziem zachodnich po walce między kształtującymi się sektami religijnymi i z plemionami indiańskimi uzupełniło obraz „boskiego przeznaczenia”.

Przed światem stanął obraz nowego człowieka, u którego wygrana z żywiołem ukształtowała „(...) szorstkość i siłę połączoną z przenikliwością i dociekliwością; tę praktyczną, wynalazczą orientację umysłu, szybką w znajdowaniu korzyści; tę mistrzowską kontrolę nad materią, pozbawioną artyzmu, lecz potężną w osiąganiu wielkich celów; tę zniecierpliwioną, niespokojną energię; ten dominujący indywidualizm, przynoszący zarówno dobro, jak i zło, a przy tym ta prężność i entuzjazm, które zawierają się w wolności – oto cechy pogranicza lub cechy, które gdzie indziej objawiają się dzięki jego istnieniu”[41]. Dla Trumpa forma stojąca za mitem „Pogranicza” stanowi fundament jego retorycznego patosu.

> Jeszcze inne hasło, wzięte na sztandar przez Trumpa w 2016 roku, przeszło „redukcję sensu do formy” i zmianę stojącej za nią treści. „Ameryka przede wszystkim” („America First”) powstało w celu promocji postawy izolacjonistycznej podczas II wojny światowej w kręgu America First Committee – środowisku do dziś generującym w pamięci zbiorowej obrazy antysemityzmu, lęgowiska profaszystowskich sympatii oraz przestrzeni inwigilowanej przez wywiad wrogich mocarstw.

Uznanie dla środowiska AFC po latach wyrażał, jako jeden z nielicznych, paleokonserwatywny publicysta Pat Buchanan, który – po wycofaniu się Trumpa – uzyskał nominację na kandydata na prezydenta z ramienia Reform Party (Partia Reform) w 2000 roku. Jednak to w 2016 roku w przemówieniu inauguracyjnym padło z ust nowego prezydenta: „Od teraz na pierwszym miejscu będzie Ameryka!” („It’s going to be America First!”). Pojęcie to nie tylko zostało przez Trumpa przywłaszczone, ale i zrewidowane. Dawne, izolacjonistyczne skojarzenia ustąpiły miejsca narracji odwołującej się do egoizmu narodowego i populistycznej wizji polityki.

Najistotniejszym jednak pojęciem, będącym marką i symboliczną twarzą mitu politycznego, jest „MAGA” („Make America Great Again”). Sens tej idei nie niesie za sobą krępującego ciężaru historycznego, wręcz przeciwnie, jego siła przebicia wynika z odwoływania się do niedawnej przeszłości, której prezydent jest fanem i pokłosiem. Hasło „MAGA”, używane przez Ronalda Reagana, a później Billa Clintona, dopiero stając się elementem splotu wszystkich zaktualizowanych przez środowisko Trumpa pojęć, uwolniło swój pełny populistyczny potencjał.

Odwołując się do tych haseł, Donald Trump czyni z nich kulturowy kontekst dla własnego mitu politycznego. Wycofanie się z międzynarodowych inicjatyw, wodzenie za nos Unii Europejskiej oraz formułowanie sprzecznych z logiką prawa międzynarodowego żądań – wszystko to jest celową „polityką czynu”, zastępowania rozpadającego się porządku nowym, bardziej darwinistycznym. Samoistnie wpisując się w mit odwołujący się do poczynań takiego Theodora Roosevelta czy Williama McKinleya – nowego prezydenckiego idola, Trump widzi, że światową walkę sił wygrać może tylko Ameryka prowadzona przez męża stanu, oparta na protekcjonistycznej polityce celnej, stanowczej polityce zagranicznej oraz odzyskująca status potęgi przemysłowej.

Trumpizm nie jest ani oryginalny, ani kreatywny – jest konsekwentny w swoich mechanizmach, co czyni go skutecznym. Ameryka po przełknięciu „MAGA-pill” ma wyjść na ring, ogłaszając, że obowiązujące zasady to te, na które przyzwala. Wkracza więc tam już jako zwycięska. Jest to obraz dla wielu absurdalny i kontrowersyjny – jednak międzynarodowa wolnoamerykanka wciąga pojedyncze państwa do akcji, nie

napotykając większego oporu.

Przypominamy, naturalizacja w procesie mitotwórczym przejawia się w tym, że odbiorcy przyjmują nowe prawdy za zdroworozsądkowe, co znaczy, że mit działa i ma miejsce. Trump jako postać narracyjnie odhistoryczniona wprowadza mit odpolityczniony, czyli imitujący niezbywalną, pozakontesktualną prawdę. Świadczy o tym chociażby przeważająca obojętność na wszelkie powiązane kontrowersje — od przeszłości Trumpa przez skandale w samej administracji po „absurdy" na poziomie egzekwowanej polityki.

Przekroczyć trumpizm

Jak wspomnieliśmy przy okazji polemiki ze stanowiskiem Barthes'a, mit „odczarowywania mitu" jest aktualnie przekraczany – nowe pokolenie zmierza raczej ku świadomej akceptacji jego obecności. Nie oznacza to jednak nieśmiertelności. Wielu krytyków swoimi tezami dalej stara się demonizować otwarty i autentycznie mityczny charakter trumpizmu.

Pierwszym z podnoszonych zarzutów jest jego ogólnikowość (*vagueness*) – narracyjna elastyczność mitu politycznego. „MAGA" to „otwarty znaczący" (znak otwarty), czyli niedomknięte pole znaczeniowe znaku, który łączy poziom języka faktów z mitem. Szerokość pojęcia przyzwala na otwarte zestawianie sensów w dyskursie, wręcz zachęca ludzi do ingerencji. Tam, gdzie mamy korposzczura, który po godzinach pracy za biurkiem marzy o antysystemowym buncie i ucieczce w idylliczny tradycjonalizm, mamy też rednecka, który między pracą fizyczną a machaniem flagą Gadsdena oglądał wodzowską propagandę z instagramowych editów i teraz domaga się wdrożenia stanu wojennego. Nieopodal nich z pewnością znajdziemy zadłużonego studenciaka, który po obejrzeniu dyskusji z Charliem Kirkiem na kampusie zaczął aktywnie współuczestniczyć w walce prezydenta z socjalizmem. Rozumiemy, o co generalnie chodzi – dowodem na ogólnikowy charakter sensu stojącego za pojęciem „MAGA" są jego formy, kształtowane w zróżnicowanej i niefalsyfikowalnej percepcji wyznawców.

> Tym, co jednak czyni z tych jednostek wystarczająco spójną masę, jest pewne poczucie żalu (*grievance*). Korposzczur, redneck i studenciak mogą różnie rozumieć to „jak", ale są pewni, że Donald Trump jednak „opróżni bagno" (*drain the swamp*) i zwróci ludowi to, z czego czują się okradzeni – amerykański sen, obiecany im w konstytucyjnych prawach „życia, wolności i dążenia do szczęścia".

Głębokie państwo (*deep state*) pod postacią wielogłowej Hydry żywi się niedolą społeczeństwa, które dręczy. Wielkie korporacje, ponadpartyjne układy i siatki szpiegowskie — których wielość twarzy nie jest Trumpowi kompletnie nieznajoma — nie są pierwszym potworem, z którym ma on do czynienia. Otrzymujemy odgórne oświadczenie samego Heraklesa o wyswobodzeniu człowieka, opakowane w plastikową strukturę masowo produkowanych czerwonych czapek. Towarzysząca procesowi anegdotyczność, życzliwość i żartobliwość usprawniają go, odsyłając nas do starego, popularnego ducha amerykańskiej polityki. Jak pisze Boorstin: „Nasi najbardziej podziwiani bohaterowie narodowi – Franklin, Waszyngton i Lincoln – są powszechnie uważani za osoby posiadające „ludzkie podejście". Czcimy ich nie dlatego, że posiadają charyzmę, bożą przychylność, łaskę czy darowane od Boga talenty, lecz dlatego, że ucieleśniają wspólnotowo uznane cnoty. Podziwiamy ich nie dlatego, że ukazują Boga, ale dlatego, że objawiają i uw-

zniośląją nas samych”[42].

Kto jednak dobrze zna się na mitach, ten wie, że Herakles nie radził sobie z Hydrą, dopóki nie uzyskał pomocy Jolaosa. Bratanek, na rozkaz bohatera, podpalił las i użył ognia, by przypalić kadłuby po odciętych głowach, uniemożliwiając im odrośnięcie. Dlatego, pytając o przyszłość mitu Donalda Trumpa, patrzymy na jego otoczenie: kadry, prawników, ale przede wszystkim jego prawą rękę – J.D. Vance’a. „Jedną z najbardziej osobliwych cech Trumpa na przestrzeni czasu była jego zdolność, nie zawsze zamierzona i często niewyrażana wprost, nakłaniania osób z otoczenia do naśladowania jego zachowań”[43]. Maggie Haberman zwraca uwagę na to, jak daleko przebija się wiecznie obecny motyw darwinistyczny. Utrzymywanie wysokiego poziomu konkurencji między pracownikami poprzez podżeganie do wzajemnego „obserwowania się” zapewniało Trumpowi poczucie kontroli nad otoczeniem. Mechanizm ten nie był jednak jednostronny: w momentach gwałtownej ofensywy administracji, „polowania” na publicznego wroga, pracownicy przyznawali, że ich poczucie tożsamości było często zdominowane przez podniosłość emocji generowanej przez prezydenta.

„Władza drugiego mitu polega na tym, że naiwność pierwszego poddaje on krytycznemu spojrzeniu” – utożsamiana z J.D. Vance’em, technokratyczną societą oraz ideologami postliberalnej filozofii prawica nie zdoła wybić się z marginesu bez własnego mitu. Coraz bardziej uwidaczniająca się krytyka Trumpa na prawicy może okazać się dla niej zgubna. Jeśli Jolaos zacznie krytykować Heraklesa za to, jak radzi sobie z głowami, zamiast przypalać odcięte kadłuby, zostanie posądzony przez lud o zdradę i sojusz z Hydrą przeciw tytanowi.

Nawet jeśli początek drugiej kadencji coraz bardziej wspiera osąd o początku schyłku prezydenckiej kariery Trumpa, to jednak około 44-procentowe (styczeń 2026 roku) zadowolenie amerykańskiego społeczeństwa z tego okresu działalności obala wizję masowego odsuwania się od lidera prawicy. Patrząc na czapki „TRUMP 2028” ukryte w Oval Office Study, deklaracje Steve’a Bannona o trzeciej kadencji, szaleńcze momentami plany geopolitycznej ekspansji Ameryki oraz wrzący konflikt Antify z ICE, można śmiało powiedzieć, że elektorat Trumpa w przeciągu najbliższych miesięcy stanie przed trudnym wyborem: albo zradykalizuje się przeciw niemu, wzmacniając postliberalne nurty alt-rightu, albo zradykalizuje się na jego rzecz, akceptując autorytarne i imperialistyczne odchyły. To decyzjonistyczne przesilenie, przekroczenie dotychczasowych zasad, a nawet praw konstytucyjnych, nie zostawi prawicy większego wyboru – albo radykalizować się wraz z wodzem, albo radykalizować się przeciw niemu. W obliczu polaryzacji nie można jednak już mówić ani o wejściu do centrum, ani o swobodnym przejściu do „obozu przeciwnego” – rządzi nami nowa logika ekwiwalencji, polityczna rewizja osi sporu. Najbliższe lata naszego życia będą pisane przez fanatyków, reszta historii – przez Boga: „Bez wątpienia miarą naszej teraźniejszej alienacji jest to, że nie możemy przekroczyć niestabilnego ujmowania rzeczywistości; nieustannie błądzimy między przedmiotem a jego demistyfikacją, niezdolni do ujęcia jego całości: bo jeśli zgłębiamy przedmiot, to uwalniamy go, ale też niszczymy; jeśli pozostawimy jego ciężar, ocalimy go, ale pozostanie on nadal zmistyfikowany. Wydaje się, że na pewien czas skazani jesteśmy jeszcze na to, aby o rzeczywistości mówić z przesadą”[44].

---

[1] R. Barthes, *Mitologie*, przeł. A. Dziadek, Warszawa 2008, s. 239.

[2] H. Bloom, *Trump: The Development Of a Manhattan Developer*, „New York Times”, 26.08.1980, s. B1.

[3] Tamże.

[4] M. Haberman, *Confidence Man*, London 2024, s. 18.

[5] R. Barthes, dz. cyt., s. 261.

[6] Tamże, s. 248.

[7] Tamże, s. 248.

[8] Tamże, s. 249.

[9] Tamże, s. 253.

[10] Tamże, s. 271.

[11] Tamże, s. 250.

[12] Tamże, s. 250.

[13] Tamże, s. 254.

[14] Tamże.

[15] Tamże, s. 258.

[16] Tamże, s. 253.

[17] Tamże, s. 263.

[18] Tamże, s. 255.

[19] M. Haberman, *Confidence Man*, s. 10.

[20] R. Barthes, dz. cyt., s. 248.

[21] G. Blair, *The Trumps: Three Generations That Built an Empire*, New York 2000, s. 90–91.

[22] Donald Trump w *The Art of The Deal* zaczyna trzeci rozdział swojej książki następującym zdaniem: „The most important influence on me, growing up, was my father, Fred Trump". D. Trump, T. Schwartz, *The Art of the Deal*, New York 1987, s. 65.

[23] Tamże, s. 67.

[24] Tamże, s. 21.

[25] M. Kruse, *The Final Lesson Donald Trump Never Learned from Roy Cohn*, Politico, 19.08.2019.

[26] M. Haberman, dz. cyt., s. 14.

[27] D. Trump, dz. cyt., s. 73.

[28] Tamże, s. 56.

[29] M. Haberman,dz. cyt., s. 282.

[30] R. Barthes, dz. cyt., s. 34.

[31] Tamże, s. 35.

[32] D.J. Boorstin, *The Image, A Guide to Pseudo-Events in America*, New York 1980, s. 56.

[33] Tamże, s. 57–58.

[34] Tamże, s. 52.

[35] M. Haberman, dz. cyt., s. 10.

[36] D. Trump, T. Schwartz, dz. cyt., s. 58.

[37] Tamże, s. 57.

[38] J. Winthrop, *John Winthrop Dreams of a City on a Hill, 1630*, https://www.americanyawp.com/reader/colliding-cultures/john-winthrop-dreams-of-a-city-on-a-hill-1630/ [dostęp: 30.12.2025].

[39] F.J. Turner, *The Significance of The Frontier in American History*, s. 2, https://nationalhumanitiescenter.org/pds/gilded/empire/text1/turner.pdf [dostęp: 30.12.2025].

[40] Tamże, s. 3–4.

[41] Tamże, s. 9.

[42] D.J. Boorstin, dz. cyt., s. 50.

[43] M. Haberman, dz. cyt., s. 13.

[44] R. Barthes, dz. cyt., s. 295–296.

Nagranie: https://www.youtube.com/watch?v=KRIncVQvil0

Oryginał: https://nlad-kopia1113.instawp.site/amerykanski-mit-xxi-wieku-donald-john-trump-znaczacy-i-znaczony/

NIEZALEŻNOŚĆ KOSZTUJE

Utrzymują nas przede wszystkim czytelnicy. Dzięki nim możemy publikować analizy, których nikt nam nie zamawia, i zostawiać je otwarte dla wszystkich.

WESPRZYJ NAS

wspieram.nlad.pl

Zeskanuj, aby wesprzeć